

Niezwykłe przygody Oralnego Billa

*Każdy z nas stworzony jest do tego, co robi.
(Ernest Hemingway)*

SKĄD CI NOGI WYROŚLY, AMIGO?

Oralny Bill lubił pasjami robić to, o czym ty wiesz, a ja rozumiem.

Był cholernie oralny, do tego stopnia, że już w wieku lat dwudziestu zyskał niepisany tytuł mistrza minety, a w 1956, kiedy Elvis posuwał powietrze na scenie i wzbudzał dziki zachwyty nastolatków i obrzydzenie ich mamusiek, przylgnęła do niego ksywka „Minnetou”.

I tak już zostało, bo czyż nie ma piękniejszej rzeczy na tej cudownej ziemi, niż dawanie soczystego spełnienia marzeń tysiącom kobiet, które niechędorzony jak należy, obrastają mchem i kurzem zapomnienia, a ich wrodzone, korzenne potrzeby zaspokaja przygodna masturbacja w smutnym, cuchnącym ludzką żalostí kibelku lub strumień ciepłej wody, skierowany na miejsce, gdzie winien znaleźć się jurny, radosny fallus, atakujący świątynię rozkoszy z siłą potrójnego tsunami.

Kiedy jego niepowtarzalny język wyceniono na ponad trzy miliony dolców, a uczynili to prawdziwi fachowcy i urodzeni koneserzy sztuki lizania, postanowił uczynić zeń narzędzie swej pracy i dokładnie dnia 12 kwietnia 1960 roku założył „Objazdowe Rodeo Oralnego Billa”, jeżdżąc wielkim, różowym autobusem, posiadającym klimę i wypasiony sracz, od miasta do miasta i świadcząc niezaspokojonym kobietom gorące usługi, a na lewej stronie owego wehikułu widniał krzykliwy napis, ułożony z czerwonych, samoprzylepnych liter: „Lubię mieć język pełen roboty”, a po prawej ogromne zdjęcie Billa, wykonującego lubieżne ruchy tymże, z dzikim błyskiem w oku.

- One tego chcą, a ja im to daję. Prawdziwy, amerykański sen. Ktoś to przecież musi robić, nie, chłopaki? Mogłem zostać cieciem na Brooklynie, albo sprzedawcą krabów. Pieprzyć to! Nie ma to jak samouświadomienie – mawiał, kiedy, gdzieś na trasie, zaczepiali go natrętni dziennikarze. – Nie ma lepszej muzyki niż ich stękania. Och, co za arie, co za wokalizy! Wtedy wiem, że Los postawił mnie na właściwym miejscu.

- A jak ten biznes wygląda od podszewki? – pytali z ewidentną nutą zazdrości w głosie.

- Świadcę usługi w szerokim tego słowa znaczeniu. Od przygodnych, po usankcjonowane umową, czyli, na przykład, pani Brown pragnie trzech minet tygodniowo, ok., przyjeżdżam i jedziemy z tym koksem, a pani White staranne i powolne lizanko tylko w soboty o siedemnastej piętnaście. Klient nasz pan! A bywa i tak, że inna pani Taylor ma ochotę, by Minnetou był z nią na zupełnie płaskim dachu jej szopy w Ohio, na totalnym zadupiu, gdzie bure psy dupami ćwierkają, to się jedzie i wchodzi w temat. Już łapiecie, jak

to wygląda?

- Pana najgorsze, zawodowe przeżycie?
- A znałem kiedyś taką jedną. Ta to miała łechtaczkę...
- Taką wielką?
- Nie, taką słoną.
- Plany na przyszłość?
- Zamierzam wylizać wszystko, co się da, a potem kupię sobie prywatną wyspę i będę tam codziennie przeżywał wszystkie fazy stanu upojenia alkoholowego w otoczeniu małego haremu, składającego się z gorących lasek, co to lubią kąsać bryłkę, a nie tylko po bożemu.
- Kąsać co?
- Manipulować przy ptaku.
- Ktoś kiedyś nazwał pana Casanovą mlecznych barów.
- Pewnie zrobił się za duży do swoich butów i nikt nie przyciął go do rozmiaru.
- Skąd pan wie?
- Martwi prezydenci mi powiedzieli.

Twarzy sobie nie wybierał.

Choć przy tak tłustym portfelu mógł zafundować sobie solidną plastykę nosa, który kiedyś został zbieżnikowany podkutym, ciężkim butem przez krewkiego motocyklistę w barze na Alasce, kiedy to doszło do durnej przepychanki o dupiastą małolatę, która od dawna nie miała chłopca, a ostro ją swędziało tego wieczora.

FRYZURY INTYMNE DAMSKIE – CHARLIE PIMPOLINO I SYNOWIE

- Co dziś pani sobie życzy? Czy zaglądała pani do naszego katalogu? – spytał Charlie.
- Tak, poproszę „*Skośne oczy Azjatki*”. Mój mąż w Wietnamie nie próżnował – odparła z dumą w głosie Julia Maria Gonzales, żona lokalnego, trzeciorzędnego mafiosa Kozzie Koza, co znany był z tego, że jechało od niego na kilometr cebulą, niezbyt starannie podtartą dupą, lichą wodą kolońską, która pierwotnie miała być nalewką dla osób z problemami skórnymi i drugorzędnym, przeterminowanym dowcipem, po wysłuchaniu którego nie uśmiełby się nawet siwy koń kopalniany.
- Na kolorowo?
- O tak!
- Czerwień i błękit?
- Tak, tak.
- A więc proszę się rozebrać. Syn zaraz do pani przyjdzie. Mikey, kończysz?
- Tak, ojczy, ale zrobić „Dziuplę bzykania” to nie takie proste. Da mi pani dziesięć minut?
- Oczywiście, mam dziś wolne.
- Weź nożyczki rozmiar 44. Ta fryzura musi być wypasiona. Skoro mąż był w Wietnamie.
- Od tamtej pory musiałam przebierać się za te dzikuski.
- Teraz pani pokaże mu to, co my tu zaraz zrobimy.
- O tak! Pan jest wielki. Tak rozumieć kobiety.
- Droga pani, wsadzić, wyjąć, męska rzecz, ale żeby zrobić to z klasą, to już insza inszość.
- Mąż kazał mi... wie pan... no, tego...
- Jest szczerze obdarzony przez naturę?
- Właśnie. Potem bolą mnie szczęki.
- Z tym koniec. Jak zobaczy „*Skośne oczy Azjatki*”, zwariuje na ich punkcie. A może coś jeszcze?
- A co?

- A może coś ekstra?
- Tak?
- Tu ma pani wizytówkę – i to powiedziawszy, dał jej namiary Oralnego Billa.
- Czy on rzeczywiście...
- Jasne. To specjalista. Czyta w kobietach jak w otwartej książce.
- Oj!
- Polecam gorąco. Moja siostra regularnie korzysta z jego usług. Twierdzi, że ta przereklamowana joga przy tym to jak marne wino owocowe za dolca przy Metaksie Private Reserve, i ja jej ufam.
- Chyba dam się skusić.
- Na pani miejscu zrobiłbym to samo.
- Czyli wystarczy zadzwonić i się umówić?
- Dokładnie.
- Och, już nie mogę się doczekać.
- Ten dzień zmieni całe pani życie – to jak zderzenie z lokomotywą. Taką z górnej półki.
- Poważnie?

Tego lata Oralny Bill został zatrzymany przez policję w okolicach Denver za zorganizowanie *Pierwszego Krajowego Maratonu Koniobójców im. Wujka Teda* (1890-1962), który ponoć przez całe niezwykle życie nie zmarnował nawet jednego dnia na bzdury – zawsze, budząc się o poranku, natychmiast sięgał po ptaka i leciał z tym koksem w myśl pięknej, złotej maksymy, iż regularna masturbacja wydłuża życie, bo nie zalegają w organizmie lewe plemniki. Chociaż specjalnie długo nie żył, jego szczytna idea przetrwała, i jak zdrowe nasienie rzucone radośnie na żyzną glebę, wydała owoce w postaci setek prawdziwych mężczyzn, gotowych stanąć w szranki o puchar patrona zawodów i posiąść zacny tytuł Mistrza Sprawnej Dłoni.

- Wypuścić go – powiedział lodowato Anonimowy Głos. – Zaraz ma być na wolności, a sprawę Maratonu zamieść mi pod dywan, zrozumiano?
- A kto mówi?- spytał porucznik Moon.
- Tony de Silva.
- O!
- Ruchy, ruchy, chłopaku, bo jak nie ruszysz tłustego dupiszcza, to będziesz jutro w podskokach dymał w supermarkecie na kasie, a chyba to dość opresyjna sytuacja, nie sądzisz?
- Tak, właśnie...
- I jego tam u was nigdy nie było, czy wyrażam się jasno?
- Nie było.
- Bo chyba nie chcesz pogadać o naszych sportach narodowych?
- Jakich?
- A takich jak gwałtowna śmierć, mały.
- Nie znam żadnego Oralnego Billa.
- I tak trzymaj, a za jakiś czas będę klaskał w pierwszym rzędzie, jak pewnego dnia dadzą ci kapitana. A ja nigdy nie rzucam słów na wiatr, kąsas?
- Tak jest, panie de Silva.

CIPKI PACHNĄ SZMALEM

- Drinka?
- Poproszę – odpowiedziała Julia Maria. – Tylko proszę mnie nie upić, chcę wszystko poczuć.

- Nie ma strachu w naszym fachu, paniusiu, będzie lizanko jak stąd do Chicago.
- Pan jest bardzo bezpośredni.
- A co żeś myślała, że mam cię całować w każdy palec? Ty płacisz, ja liżę, czysty układ, nie?
- Może powiem, co jest nie tak? Wtedy jest jakaś szansa...
- No to wal. Chwila, tylko golnę sobie jednego.

I kiedy już wypił, ona zagadła:

- Jestem kobietą, dla której najważniejsza jest miłość. Przez jakiś czas poznawaliśmy się poprzez rozmaite pieszczoty. W końcu doszło do współżycia. Trochę się rozczarowałam, bo spodziewałam się, że to będzie przyjemniejsze doznanie. Początkowo te zbliżenia były dość krótkie – te rozmiary, och, to było bolesne, a ja bez doświadczenia. Zaniepokoiło to, że dla mnie ten cały seks jest mało przyjemny, że właściwie nie za bardzo czuję, co się w środku dzieje. Pomyślałam sobie, że może on jest za wielki, a ja za wąska, panie Bill. Ostatnio po raz pierwszy kochaliśmy się dłużej. Ogólnie rzecz biorąc na tyle długo, że on się chyba porządnie zmęczył, a ja w pewnym momencie poczułam się poirytowana, i pomyślałam sobie, że mógłby już skończyć. Nie rozumiem, dlaczego tak jest. Może moje receptory są nieczułe? Nie wiem, czy to jest normalne, czy faktycznie jesteśmy niedopasowani. Ogólnie doszło do przykrew sytuacji po tym dłuższym seksie. Leżeliśmy obok siebie i właściwie nie wiem, co powiedziałam, ale chyba coś w stylu: „Nie wydaje ci się, że...”. On jest moim pierwszym mężczyzną, nigdy nie miałam pochwowego orgazmu. Może miałam zbyt wygórowane oczekiwania związane ze współżyciem i dlatego się rozczarowałam?

- Siadaj na Fotel Rozkoszy, mała, a świat znów będzie twój! – zawołał Oralny Bill, ostro pociągając z butelki. – Otwieram ci drzwi, a klucz wywalmy do Atlantyku. Za sto lat będzie warty tyle, co cały Manhattan.
- Czy stanę się czuła na członka od pierwszego seansu?
- No co ty? Zalecam piętnaście wizyt, a potem to już masz z górki, bez kitu.
- Och...
- Zresztą jak chcesz, mogę sprawdzić efekty naszej pracy...
- Ale to by była zdrada.
- Nie pieprz, chcesz być dobra w ten deseń?
- No tak...
- To już za dużo nie główkuj – to szkodzi. Zdaj się na mnie – lata doświadczeń.
- Skoro pan tak mówi, panie Bill...

„Tu stacja PIKABOO, z ostatnich badań wynika, że wciąż rośnie liczba niezaspokojonych płciowo kobiet, które uprawiając seks, nie czerpią z niego żadnej przyjemności. Czyż to nie haniebnie, że przebrzydłe samce używają sobie w najlepsze, a pleć piękna cierpi i służy za przysłowiowy „materac”? My, świadome swej seksualności pracownice stacji PIKABOO żądamy, by kwestia współżycia płciowego została rozwiązana według reguł sprawiedliwych i by panowie, których popycha do nas chęć prymitywnego użycia, może zastanowili się nad sobą lub nad alternatywnymi metodami zaspokajania żądz, na przykład za pomocą lalek z sex shopów, sztucznych pochew, przyczepianych na przysawkę do stołu lub naturalną metodą masturbacji, bo nie zamierzamy dłużej znosić upokorzeń oraz nierzadko brzydtko pachnących, nabrzmiąłych fallusów w ustach, tudzież nieogolonych jąder. Czy naprawdę nie wiecie, co to dobry smak?” – mówiła Gloria

WSADZIĆ, WYJĄĆ, MĘSKA RZECZ?

Oralny Bill właśnie bezstresowo stawiał w krzakach klocka, niemożebnie nawalony nitrazepamem i gorzałą, tuż po Lokalnych Spotkaniach z Językiem, w trakcie których obsłużył małą wieś, a potem chodził zygzakami, jakby miał w tyłku pięciocentówkę, kiedy w jego wypasionym autobusie zadzwonił telefon. Podtarł się liśćmi i wysmarkał nos na glebę. Miał w ryju niezłego trampola, ale jakoś trzymał blat – parę dni wcześniej wydał tomik wierszy „Kalifornijskie odbyty moich lęków”, który niezłe się sprzedawał w kręgach zbliżonych do napalonych małaolat, lubiących ostrą jazdę bez trzymanki.

Pieprzony dzwonek świdrował jaźń.

Odebrał.

- Co jest?

- Ja jestem.

- A coś ty za jeden, jeśli można spytać?

- Tony de Silva. Mówi ci to coś?

- Może.

- Wyjmij z szafy musztardówę i sobie nalej. Będziemy gadać.

- Dobra. Naleję sobie – to powiedziawszy, poszedł po flaszkę i pociągnął ostro z gwinta, po czym zapodał smrodliwego bona, który szybko rozszedł się po lokalu, jak plotka po dobrych sąsiadach.

- Od jakiegoś czasu stoję na glinianych nogach i to w dodatku z podpórką – rzekł rozmówca.

- Tylko nie nawijaj, że widzisz dźwięki i słyszysz kolory, bo pomyślę, że masz nasrane w papierach.

- Wyjąłem ją pod monopolowym u Koszernego Franka. Usłyszałem gadkę: „Czlenio, co ty na dźwigu jesteś? Kopsnij szluga”. Wbiłem w temat i to ja jej dałem zajarać. Tamten koleś nawet nie zdążył beknąć.

Ona gapi się na mnie, a cyc jak dorodna para arbuzów, to se myślę, trza kisić ogóra, skoro laska się nawija. Gotowa na kizi-mizi, a w gaciach kisiel. To się pcha do mnie za chwilę ten fiut, co to go wyprzedziłem, a ja mu, że teraz to już keczup po frytkach. On kozaczy, to dałem z glacy i mówię, żeby odpałał rolki, bo bęcki będą grane. „A chuj ci w dupę” – powiedział. No to sklepałem mu wary.

- Ale po co mi to gadasz, facet?

- Chwila, moment. Gościu był jakiś zjeb genetyczny, to dostał i zjechał w kimę. Więc walę do niej. A co tam! Akcja całkiem w cipkę.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że złapałeś głoda?

- Jasne, człowieku. Każdy poleciałby z nią grubo.

- No i popukałeś?

- A trup na baterie!

- Poważka?

- No. Do dziś rzygam tą sprawą. Rzeźbienie w gównie boli...

- Kica na innym kiju?

- Nie o to chodzi. Gorsza padaka.

- Czyli?

- Taka miss pędzła, a choćbyś pękł, picipolo na zużlu. Raz poginałem ponad pół godziny, wszystkie figury były grane i nic.

- Coś kminię tę fabułę. Mężczyźni dzielą się na dwie grupy: tych, co lubią zapach cipki o poranku, i tych, co lubią zapach wody brzozonej „Twój męski sen”. Ja należę do trzeciej – nad ranem kocham puszczać wiatry, i jak je czuję, walące spod kołdry, to wiem, zem zdrów i basta. Ty nie należysz do żadnej, dlatego jej nie dogodziłeś.

- Ale dotąd...

- Dotąd miałeś z górki, teraz pod, łapiesz? Nie każda dziupla pachnie miodem, człowieniu.

- Ale za mną stoją ludzie z miasta.

- Czego chcesz?

- Weź ją w obroty, tak na maksa, żebym potem już miał z niej pożytek. Jakoś się do niej przywiązałem, dziwne, ale poszło jak wóz z węglem w Michigan, kiedy Mięsiasty Pit kładł palec na niezapłaconych rachunkach...
- I co z tego wyszło?
- Nadal były niezapłacone.
- Czyli ostre lizanko?
- Zgadza się.
- Tylko nie daj dupy.
- A pierdol się.
- Też cię lubię.

Kiedy o 5.41 obudził się z lewym policzkiem w rzygowinach, obficie ścielących się na stole, zrozumiał, że życie to dziwka, a potem się zazwyczaj umiera.

CHŁOPCY, OCH, PIĘKNI CHŁOPCY

Łysy Jim marszczył sprawną, żylastą dłońią bena w składzie z tanim, lichym węglem, kiedy na podwórze zajechał na rzeżącym rowerze podpity, mamroczący pod nosem listonosz, który, postawiwszy swój wózek pod ścianą, natychmiast zleź w zmysłów zatraceniu i głośno puścił wodnistego piarda.

Zdążył jeszcze stęknąć:

- Syf, malaria, korniki doić... - po czym mrok zagościł na dobre w jego umyśle.

Mistyczny Fred, który już w młodości załatwił sobie lewą rentę na głowę, z obrzydzeniem odrzucił brązowy od woskowiny usznej wacik, po czym donośnie beknął, a gdy już to stało się faktem, sprawdził, czy niedawno wyciśnięty pryszcz zdążył się już zagoić, czy też zagnieździło się w nim jakieś cholerstwo.

Licho nie śpi, panie ładny.

Coś jednak było – pięknie rozlało się na łazienkowym lustrze mleczną smugą.

- To ci strzał, kurde, jak w westernach.
- Jak w westernach... - odpowiedziało echo, gdzieś, pod sufitem.

Srebrzysty Chuck od dawna nie mógł wyrwać lachona na posuwy, bo stał się człowiekiem o smutnym oddechu, czyli sytuacja przypominała stepowanie w drewniakach nad przepaścią.

Miał puste przebiegi i nadrabiał to nadmierną konsumpcją tanich bełtów.

Marzenia o ostrym złoceniu batona mógł śmiało wyrzucić do kibla i spuścić wodę.

- A co ty myślisz, że na twój widok pochlastam się czerstwą bułą? – wykrzykiwał.

Potem spadał na bambus prostować banany.

Bezskutecznie.

Wściekły Kozzie Koz tego dnia naprawdę toczył obficie pianę z pyska, zwłaszcza że efekty kuracji Oralnego Billa okazały się gorzej niżli mierne: Julia Maria znów nie miała czucia między nogami, co wprawilo go w iście diabelską furję, której ostrze miało uderzyć w niefortunnego maga sztuki lizania, bo był on ostatnią deską ratunku, a okazał się totalnym niewypałem.

- Kochanie, ale przy nim... - szeptała żona.
- Milcz, kiedy do mnie mówisz! – krzyczał mafioso i biegał tam i z powrotem po pokoju. – To ja tu z taką fujarą...

- Ale podobno nie liczą się rozmiary, skarbie.
- To co on ma, czego mnie brak?
- Język, boski język, Kozzie. Może ty mnie zaczniesz leczyć?
- Gorzej ci, kobito?
- Bo Oralny Bill to człowiek innego wymiaru.
- Jakiego wymiaru?!
- On jest taki... oralny!
- A weź mnie nie raź!
- Jego podejście do swojej pracy zdumiewa.
- Za chwilę ja go będę zdumiewać, jak chłopaki go odwiedzają i naszpikują łożem.
- Czy to rozwiąże nasz problem?
- Nasz nie, ale mój na pewno.

Bezwstydne przepychem bujnej zieloności drzewa oraz dwa bezpańskie, kopulujące koty usłyszały taką, a nie inną rozmowę:

- Proszę pana, ja bardzo grzecznie mówię: proszę mi stąd wypierdalać.
- Że co?
- Bardzo grzecznie proszę: proszę mi stąd wypierdalać.
- Że jak?
- Że wypierdalać.
- Ale jak to wypierdalać?
- A zwyczajnie.
- Czyli?
- Na nogach i dupę zabrać ze sobą.
- Tak zwyczajnie?
- Tak.
- To się nie da.
- Dlaczego?
- Bo ja nie wypierdalam na nogach.
- A na czym?
- Na łożku.
- Na jakim łożku?
- Na jakimkolwiek, może być z Chin.
- Ale w Chinach jeżdżą na rowerach.
- Ale ja wypierdalam na łożku.

Wróciwszy do różowego autobusu, Oralny Bill miał w głowie nielichy zamęt: czyżby Tony de Silva nie uprzedził własnego ciecica, że on nadjedzie, by zająć się jego oziębłą kobietą?

Wydało mu się to dość dziwnym kuriozum, ewidentnie wbrew wszelkiej logice.

Ale chciał uczciwie zarobić swoją kasę i przy okazji, jeśli to w ogóle będzie możliwe, rozruszać jego starą – wszak cuda zawsze się zdarzają, zwłaszcza kiedy się w nie wierzy.

Po dwóch dniach zadzwonił Tony.

- Nie miej żalu o tego buraka, to był jego pierwszy dzień w nowej pracy. Mój szofer przywiezie Claudię do ciebie, tylko powiedz, gdzie się zatrzymałaś.
- A stoję przy takiej oldskulowej menelowni, nazywa się „Jadło z patelni”.
- To brzmi dwuznacznie, nie sądzisz?

- Cholernie oralnie, człowieku.
- Z rana będzie.
- To jesteśmy ustawieni.

KTO LIŻE, NIE BŁADZI

- To pan jest ten Oralny Bill? – spytał grubawy, cuchnący ostrym, zjełczalym potem facio, o płaskiej, komiksowej twarzy i okrutnym wytrzeszczu, który przywiózł Claudię.
- Ja.
- Na pewno?
- Jasne.
- Jak to jasne?
- Ano tak.
- Jak?
- A tak.
- Aha.

Szofer był rozgarnięty jak kopka siana na wietrze, gdzieś w okolicach Seattle, gdzie zawsze możesz liczyć na to, że kiedy pójdziesz się odlać do cuchnącego moczem i kwaśnym klockiem kibla, ktoś naszcza ci do kufła, a później zgraja podchmielonych ziomków krzyknie: „Ciśniem, bo skiśniem!”, co nie oznacza, że jeszcze tego dnia los nie da ci kopa w czoło, co nakazuje czujność i zwartość, bo lepiej zgarniać niż tracić.

- Jesteś mistrzem minety? – zapytała. – Prawda to, czy kit, panie Bill?
- Jasne. Mistrzem świata. I w kosmosie też musieli o mnie słyszeć.
- Czyli zdolniacha? To o tobie ten kultowy zespół COOL JAZZY COWBOYS nagrał kiedyś hita: ”Bill liże, liże, a ona czuje, jakby grał jej na lirze?”
- Coś w tym rodzaju. Mam wyrobioną markę. Jestem amerykańskim snem.
- Jak chcesz, możesz się w międzyczasie masturbować. Miły widok.
- Często to robię.
- Albo mogę poczochnąć ci precla – moje usta są stworzone do miłości.
- A czemu nie.
- Ile Tony płaci ci za seans?
- A trzy tysia.
- W mordę jeża...
- Zależy mu, żebyś w końcu miała czucie między nogami.
- Z innymi miałam.
- Tony nie wygląda mi na popierdólkę.
- Bo nie jest.
- To co z wami nie tak?
- Ja lubię na ostro, a on...
- To z kim ty się wcześniej ziomowałaś?
- A z takimi, co to z liścia po paszczy dadzą, złapią za wsiarz i wepchną w poduszkę, co rzną po kowbojsku, jakby jutro miał się skończyć świat, tak to jest po mojemu. Lubię, jak facet jest jak zwierzę.
- Dałaś mi bezcenne rady. Moja terapia będzie bardzo ofensywna.
- O!

- Zaczynamy?
- Jasne, mój słodki.

Po paru seansach zadzwonił Tony.

Był cholernie podekscytowany, ale ta reakcja nie była niczym specjalnym.

Kiedy mówił, głos w słuchawce drgał jak struna, dotknięta ręką gorącego Latynosa.

Czuło się temperaturę i to, co określa męską potrzebę spełnienia.

- No i jak? Jestem tak podjarany, że stoi mi jak sosna.
- Jeszcze pięć spotkań i bierz się do roboty.
- Płacę ci kupę kasy.
- A ja robię kupę minet.
- Uważaj na siebie.
- Bo?
- Bo Łysy Jim, Mistyczny Fred i Srebrzysty Chuck, wysłani przez Kozzie Koza, niebawem zapukają do twoich drzwi.
- *Towarzystwo Strażnica? Pokolenie 1914 nigdy nie przeminie?*
- Gorzej. To popierdolone matole. Ostro łykają jakieś ściemnione dragi, więc warto mieć oczy szeroko otwarte. Umieranie może się człękowi dać nieźle we znaki.
- Najpierw muszą wiedzieć, gdzie akurat jestem, a to jest zawsze największą niespodzianką.
- Jasne, możesz być w Chicago albo w San Francisco.
- Obecnie jestem uwiązany tutaj – jutro zaczynam Amerykańskie Warsztaty Solidnej Minety, połączone z czytaniem wierszy Bukowskiego i Ginsberga, i kąpielami w ciepłych wodach, pobudzających dolne partie podbrzusza, które potrwają dobry tydzień, ludzie zjadą z całego świata, więc nigdzie nie wydamy. Tu trzymam dupsko, póki co.

JEŚLI NIE LUBISZ FORSY, TO ALBO JESTEŚ GŁUPI OD URODZENIA, ALBO OSTATNIO BRAŁEŚ LEKCJE

Jeff Romero, słynny tenor w amatorskim „Chórze Żwawych Wujów”, wielbiciel grzybów halucynogennych oraz cyncatych Murzynek o rozmiarze buta 36, który z pewnością nigdy nie skończyłby na przystanku, otoczony dużą ilością kolorowych, plastikowych toreb, prowadząc na głos wewnętrzne monologi, ponieważ nie miał żadnych szans, ale zawsze mógł je wykorzystać wiedział, że utylizacja pomyj, wylewanych na niego przez tzw. „porządnych ludzi” nic nie da, bo będą mieć zawsze na podorzędziu rezerwowo kubek.

- Clarise, ja potaćzyć chcę! – śpiewał skoczne kuplety w chwilach euforycznych uniesień na przekór tym, co na jego widok marszczyli niskie czółka i złorzeczyli pod nosem.
- Clarise, widząc twoje uda wiem, że zdziałam cuda! – szła wesoła piosnka w świat, kiedy stał oparty o mur prawdziwej, amerykańskiej kamienicy i zapamiętałe ugniatła pulsujący wzdół, wodząc maślanym wzrokiem za przechodzącymi, biodrzastymi samiczkami.
- Nie patrz, synku, ten pan jest nienormalny – rzekła z przejściem szczerbata mamuśka o okrutnej fryzurze „na pieczarkę”. – Chodź już, babcia da ci świeże klopsy.
- Och, co za degenerat! Pomyśl tylko, Alfredzie, jak tak można, na środku ulicy, w naszym, pięknym kraju. Toć to Sodoma i Gomora! – jęknęła do męża siwa niewiasta z tęgim wąsem.
- Ale kolo, niewyjęty, nie, mała? – zaśmiał się wytatuowany, wesołkowaty hipis do grubawej blondynki w czarnych glanach z żółtymi sznurowadłami. – Żeby tylko nie zaczął lecieć na ręcznym, ale byłaby jaz-

da. Chwila, bez kitu, to przecież wolny kraj i nie ma to tamto, nie?

- Clarise, och, słodka Clarise, na ciebie czekam ja...

- Te, śpiewak, a chcesz zarobić stówę? – zapytał gość w ciemnych okularach i słomkowym kapeluszu, który bezszelestnie podjechał żółtym kabrioletem, spokojnie ćmiąc wielkie, kubańskie cygaro.

- Mowa. A o co chodzi, panie?

- Tylko bez nazwisk, Jeff. Ja płacę, ty robisz, co mówię, trybisz?

- Jak bez nazwisk, to dwieście. Pewnie chodzi o ryzyko.

- Będziesz kogoś udawać.

- Kogo?

- A to już nie twój biznes.

- To będzie kosztowało trzysta.

- Cwaniak z ciebie. Od początku chciałem ci dać pięć stów.

- Uprzedzam: nie jestem pedziem.

- Właśnie dlatego.

- Na czym ma w takim razie polegać moja usługa?

- Wiesz, gdzie mieszka Wiocha, ten zapijaczony koszykarz?

- Jasne, na Blue Street 66.

- To masz tam być pojutrze o siedemnastej.

- Po co?

- Już ci mówiłem. Tu masz numer telefonu, na który Wiocha zadzwoni i powie, że jest u niego ten, kogo twój rozmówca szuka. Tyle. Wszystko jest pod kontrolą. Tamten typek się od razu domyśli, o kogo biega.

- Ale przecież może pan sam zadzwonić. Moja osoba jest chyba zbędna.

- Wiesz, obiecałem babci, że zdobędę twój autograf. Lubi ten wasz, porąbany chór.

- A jak z autografem, to sześćset.

- Od razu chciałem ci dać tysia.

- Poważnie? Dlaczego?

- Bo ja też cię czasem słucham, mordo ty moja.

„Tu stacja PIKABOO, z ostatnich badań wynika, że wciąż rośnie liczba niezaspokojonych płciowo kobiet i, co gorsza, wyrafinowanych, plugawych rzemieślników sztuki erotycznej, którzy jak kleszcze pasożytują na często samotnych, porzuconych i niedowartościowanych ofiarach, świadcząc swe nikczemne usługi za grube pieniądze, tak, to prawda, za ciężkie pieniądze! Tonący brzytwy się chwyta, ale trzeba uderzyć w stół i krzyknąć: dość! To zakłęte koło musi zostać przerwane, to życie w matriksie nic nie wnosi, a nasze, kochane koleżanki trwonią uczciwie zarobione dolary na przeróżnych zimnych drani, co robią wszystko, by nabić sobie kabzę i sprzedawać swój zatruty sen w naszej pięknej ojczyźnie. Może warto stworzyć komitet obywatelski przeciw płatnym kochankom i nadać życiu czystości i bieli? Stacja PIKABOO chętnie poda pomocną dłoń. Bo, jak krążą słuchy, napłynęła do nas wielka fala zboczeńców z Meksyku i krajów Europy Wschodniej, zwłaszcza nieokrzesanych, dzikich Bułgarów i Rumunów, którzy swymi diabelskimi oddechami kalają ziemię ojców. Stańmy w wspólnym szeregu. Jeśli nie my, to kto to ma zrobić?” – mówiła Gloria.

RAZ NA WOZIE, RAZ POD WOZEM

Oralny Bill właśnie w najlepsze używał sobie z pewną soczystą młódką w krzakach, dla odmiany zaspokajając ją teraz metodami naturalnymi, kiedy w innej części miasta nawaleni jak stodoła chłopcy Kozzie

Koza podjechali cichcem pod chałupę Wiochy, który zdążył już zadzwonić pod podany numer telefonu i obalić z Jeffem Romero dwie flaszki paskudnego, owocowego bełta pod najtańsze chipsy paprykowe i oszukane surimi robione z pangi.

- Mocny ten koks był, kurde, mam samolota... - stęknął Łysy Jim. – Cuś mnie mgli...
- A ja zapodałem kolumbijski wdech i teraz mogę pukać do świtu, ole! Hej, laseczki, która chce pojeździć na rollercoasterze? – krzyknął na wysokich rejestrach Mistyczny Fred.
- Pieprzyć to w dupala, wczoraj tak się nażarłem u Chińczyka, że srałem całą noc i ciągle szczypie mnie zwieracz – jęknął dość wiarygodnie Srebrzysty Chuck. - Sprawdźmy klamki. Nie może być obsuwu.
- A niech to, zapomniałem nabić magazynek.
- A ja zostawiłem spluwę w szafie.
- Dobrze, że mózg zabrałeś z kosza na śmieci. No to mamy jednego gnata na trzech. Lepiej być nie mogło
- powiedział Srebrzysty Chuck. – Tylko ja tu, jak widać, nic nie łykałem. Ogarnąć się, fiuty, zaraz wchodzimy. Róbcie przynajmniej groźne miny, bo będzie kiszka, a wtedy Kozzie urwie nam nabiał.

Powoli, z trudem, jaki zazwyczaj pokonują osobnicy o organicznych skłonnościach do twardych prochów, podszli pod chałupę, i wówczas stała się rzecz przedziwna.

Otóż, ni stąd, ni zowąd, bezszelestnie jak duch nadjechał żółty kabriolet, a w nim niedawny rozmówca Jeffa Romero, z wielkim cygarem w ustach wraz z Dwoma Wesołymi Kolesiami w szarych, markowych garniturach.

- Brać ich! – syknął kierowca.
- Się robi, szefie.

Jak lamparty wyskoczyli z wózka i podbiegli do zastygłych w bezgranicznym zaskoczeniu gangsterów, i wycelowawszy dwa olbrzymie magnum 44, nakazali szybciotko paść na trawnik i ani ruchu, bo będzie kispisz jak sto pięćdziesiąt.

Wtedy mężczyzna z cygarem i małą walizką w dłoni zbliżył się do nich, i po otwarciu jej, wyjął trzy pary kajdanek i trzy kneble z białej szmaty.

- Dawać łapy i otwierać pyski.

Po chwili chłopcy Kozzie Koza byli już starannie skuci i pozbawieni wszelkich możliwości wydawania jakichkolwiek odgłosów paszczowych.

- Podnosić dupy i w drogę – powiedział szef.
- Bierzemy ich za dom, tak? – spytali chórem Dwaj Wesołi Kolesie.
- Tak, a po co ma ich kto oglądać. Ukryjcie ich na razie w krzaczorach. Ja idę się rozmówić – i to powiedziawszy, mężczyzna z cygarem otworzył drzwi i wszedł. W środku capiało jak w kiblu na zadupiu – widać, że Wiocha oszczędzał na wodzie i mydle oraz konsekwentnie unikał uchylania okien.
- To ci, syfiarz paskudny...
- Hej, a coś ty za jeden? Co robisz u mnie na chacie? – spytał gospodarz, który akurat podążał chwiejnym krokiem do kuchni po kolejnego bełta. – My się chyba nie znamy, hm?
- Nie dziąśluj tyle i w podskokach prowadź mnie do telefonu, zrozumiano? – szepnął lodowatym głosem gość. – Nie powtórzę drugi raz – dodał, wysuwając spluwę z wewnętrznej kieszeni marynarki.
- No już dobra, człowieku, jest w kuchni na parapecie.
- Spadaj stąd.
- Chciałem wziąć flaszkę.
- Weźmiesz później. No jazda do pokoju!

Spokojnie wykręcił numer Kozzie Koza i czekał na połączenie.

Po chwili w słuchawce odezwał się basowy głos:

- Słucham.
- Tu Eddie Love. Musimy pogadać. Wiesz chyba, kim jestem?
- Killerem Tony'ego de Silvy. Zgadłem?
- Tak. Mam twoich posranych chłoptasiów. Skąd żeś ich wytrzasnął, ze slumsów?
- A gównu ci do tego.
- Pyskacz z ciebie. To nie zmienia faktu, że tkwisz po uszy w dole z gnojówką.
- Już mnie kilku straszyciło. Dziś leżą w ziemi w drewnianych jesionkach.
- Nie kupuję twojego bełkotu. Będziesz musiał się dostosować, albo...
- Albo?
- Albo jeszcze dziś, po załatwieniu twoich półgłówków, wyślę FBI wszystko, co na ciebie mamy, a jest tego naprawdę sporo. Masz u siebie naszego kabla, od wielu lat. Dlatego my rządzymy miastem, a ty jesteś trzeciorzędą gniadą.
- Dobra, o co chodzi?
- O Oralnego Billa. Jak masz trefną niunię, to ją zmień. A od Billa wara. Od dziś o nim zapominasz. Bo jeśli mu włos z głowy spadnie, to...
- Oszust pieprzony!
- To nie twój biznes, czy oszust, czy nie. To koniec, kumasz?
- Ale...
- Zamknij się, ok.?
- A niech to...
- Teraz wypuścimy tych trzech i obym nie musiał dobierać ci się do dupy.
- Ale kto jest tym kablem?
- Już wiesz, że i ciebie kontrolujemy, mały cwaniaczku.

RAJ NA ZIEMI TO NIE ŚCIEMA

Dwa tygodnie później w słuchawce popłynął śpiewnie rozradowany głos Tony'ego, poszybował w eterze jak rajski ptak, symbol szczęścia i spełnienia.

- Bingo, skubańcu! Jesteś wielki! Wróciło jej uczucie, wróciło na dobre! Jestem w szoku i będę do przyszłego roku albo i dłużej. Szacun, aż centralnie brak mi słów. Takiej laski jeszcze nie miałem, a żyję już trochę na tej ziemi.
- Wiesz, Tony, po prostu odkryłem swoje powołanie i poszedłem za jego głosem.
- Zmieniłeś całe moje życie, Bill, o sto osiemdziesiąt stopni. Zaczynam zupełnie nowy rozdział i to bardzo daleko – rzekł tajemniczo rozmówca.
- Co masz na myśli?
- Jakiś czas temu kupiłem willę w Portugalii, z widokiem na ocean. Raj na ziemi. Wyprałem wszystkie pieniądze, wpakowałem do dobrych banków i kończę działalność – teraz miastem będzie rządził mój następca. Niedawno puknęła mi pięćdziesiątka, czas odpocząć, pożyć sobie na luzie, z dala od FBI i cienkich, debilnych glińiarzy, którzy rzną głupa i zaćpane małolaty. Jednym słowem, ja i Claudia opuszczamy na zawsze Stany.
- No to w dechę. Zazdroszczę wam, jak cholera.
- Nie musisz.
- Co masz na myśli?
- Kiedyś słyszałem, jak mówiłeś w radio, że jak już ci się znudzi lizanie, chcesz zamieszkać na wyspie z małym haremem, aktualne to?

- Jak najbardziej.
- No to jest mała wyspa do kupienia, na morzu Śródziemnym. Z niezłą chatą i ogrodem. Mogę ci dać namiary.
- Poważnie?
- Jasne, człowieku, wiem, że nabiłeś tyle hajsu, że stać cię na nią. Ja na twoim miejscu zbyt długo bym się nie zastanawiał, bo ktoś sprzątnie ci ją sprzed nosa.
- Tylko jest pewien problem: jak ją kupię, zostanie mi szmalu na jakieś dziesięć lat życia. A potem co? Nie marzy mi się życie w nędzy. Jestem przyzwyczajony do przyjemności, wiesz, jak to jest – jeśli przez lata leciałeś dość wysoko, warto byłoby utrzymać pułap.
- Pomyślałem i o tym.
- Tak?
- Za to, co dla mnie zrobiłeś, chciałbym zafundować ci solidną, oralną emeryturę, wchodzisz w to? Zawsze miałem zajebiaszczy gest, stary, do grobu tej kasy nie zabiorę, a jest tego od pyty.
- To jakiś żart? Nie rób mnie w balona, bo jeszcze z wrażenia fiknę koziołka na zawał, a to byłoby w moim wieku szczytem głupoty.
- Co miesiąc na twoje konto będzie wpływać piękna sumka.
- Nie jestem idiotą – zgadzam się. W mordę, ale się powyrabiało. Totalny nokaut.
- Będę do ciebie wpadał. Mam samolot i wypasiony jacht. Razem nie raz zabalujemy, zrobimy hektolitry zimnych browarków przy orientalnym grillu. Trza używać życia i pukać laski. Do ostatniego dnia, nawet kiedy powiedzą, że jutro to już wczoraj.
- Jasne, Tony, teraz już wiem, co dalej, już mam w głowie cały plan.
- No to trzym się ramy. Jesteśmy w kontakcie.

Oralny Bill siedział właśnie w ogrodzie tysiąca bajecznych roślin, mieniących się purpurą i ciepłym różem, w otoczeniu swoich dziewczyn i konsumował pikantną łopatkę z rusztu w połączeniu z sałatką z pomidorów i cebuli, popijając markową tequilą, kiedy ogorzali od słońca Grecy przywieźli wielką motorówką kilkaset butelek dobrego, niemieckiego piwa oraz sporą ilość zapasów jedzenia, wpływając bezszelestnie do przystani.

Tego dnia słońce całowało czerwcowo przedpołudniowym żarem, słychać było pisk mew, a zmarszczone lekką bryzą morze cicho szeptało, że dopóki się żyje, zawsze jest szansa, by spełnić najdziksze sny, bo ta jedna, najważniejsza przygoda, zwana życiem, zdarza się tylko raz.

- Witaj, Aristotelisie. Masz to, co chciałem? – zapytał gospodarz.
- Jasne, panie Bill. Mamy wszystko wedle zamówienia.
- Oliwki i czosnek marynowany też?
- Oczywiście. Przecież pan wie, że jesteśmy solidna firma.
- Dawajcie to do piwniczki.
- Już się robi.
- Niedługo przylatuje do mnie przyjaciel. Człowiek niezwykły. Mam zamiar mieć tu imprezę co się zowie, prawda, laseczki?
- Jasne, kochanie, będzie naprawdę grubo.
- Nie inaczej – powiedział Bill, uśmiechając się pod nosem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 04.07.2024 20:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.